To co dobre szybko się kończy. Nasz pobyt w Kerali, gdzie było sielsko, spokojnie, a grupa rozkoszowała się cudownie przyrządzonymi świeżymi rybami przeszedł do historii wypraw. Spakowaliśmy więc plecaki, rikszami podjechaliśmy na dworzec w Ernakulam, władowaliśmy się do monstrum na torach i pomknęliśmy do Hyderabadu, a konkretnie Charlapalli. Anetka, która przyjechała do nas z Mumbaju, pomachała grupie na pożegnanie i mogliśmy otworzyć kolejny rozdział indyjskiej przygody. Czekały nas dwadzieścia cztery godziny w pociągu. Pozajmowaliśmy zarezerwowane miejsca, poupychaliśmy plecaki pod siedzeniami i… No właśnie, co robi się w pociągu, jadąc dobę? Gada się z miejscowymi, śpi, je, pije, znowu śpi, leży i czyta, pisze, łazi do toalety typu indian style, walczy w niej z grawitacją i metryką, która coraz bardziej utrudnia podniesienie się z przysiadu… ja spałam, pisałam relację i obserwowałam super rodzinkę Indusów – małżeństwo z dwoma synami (4 i 3 lata). „Gady” były cudne, buszowały, uśmiechały się do współpasażerów, skutecznie wszystkich uwodząc. Grażynka robiła maluchom fotki i zabawnie przedrzeźniała. Maluchy szybko się ośmieliły i zaczęły przybijać nam piątki. Pogadaliśmy z ich rodzicami, zostaliśmy poczęstowani domowymi wypiekami mamy malców i jakoś czas minął do wieczora. W pociągach indyjskich można się wyspać. Co prawda znam wygodniejsze wyrka, ale nie mogę narzekać na te tutejsze sleepery. Nikt nie przeszkadza, nie ryczy na pełny regulator, nie słucha przebojów typu „umc, umc”, czasem ktoś zachrapie lub puści bąka. Norma. Więc leżeliśmy tak na swoich pryczach do dziewiątej rano. Około jedenastej zaczęliśmy zbierać manatki. Kumar wcześniej zarezerwował pokoje w hotelu, więc byliśmy pewni, że w krótkim czasie weźmiemy kąpiel i być może coś jeszcze konstruktywnego uda się zrobić. Młodych zostawiliśmy na dworcu w Charlapalli i poszliśmy sprawdzić wybrany hotel, który był gdzie powinien, czyli jakieś 250 metrów od stacji kolejowej, hall i recepcja były czyściutkie, pokoje ogromne i z wygodnymi łóżkami (zerknęłam do jednego). Ale po pierwszych „grzecznościach”, gość z recepcji poinformował Kumara, że nie widzi naszej rezerwacji. Powtórzyła się sytuacja z Puducherry, gdzie też mieliśmy kłopot z Bookingiem. Kumar ją zrobił, a Booking skasował. Jednak w Puducherry od razu zaproponowani nam pokoje pomimo braku rezerwacji i było po sprawie. W Charlapalli niczego nam nie proponowano. Hotel niby był na Bookingu, ale przejęła go firma OYO z myślą o wynajmie Indusom. My nimi nie jesteśmy, więc nawet wstawiennictwo policjanta nie pomogło. Musieliśmy znaleźć inne lokum i znaleźliśmy. Wpakowaliśmy się do riksz i pojechaliśmy do „Swagath Grand”. Ja jechałam z Grace. Niby miałyśmy niby rikszę tylko dla siebie, ale za to po bokach nie miała żadnych osłon od deszczu, a ten zaczął padać coraz bardziej intensywnie. „Waliło żabami” do tego stopnia, że przyjechałyśmy na miejsce dość mocno przemoczone. Tymczasem nazwa hotelu z przymiotnikiem GRAND zobowiązywała. Formalności związane z wynajem pokoi trwały w nieskończoność. Panie skanowały paszporty, a my z Kumarem staraliśmy się wypełnić wszystkie wymagane formularze. I wreszcie, około osiemnastej mogliśmy się umyć i pójść na kolację.

Hyderabad jest naprawdę dużym miastem z (podobno) czternastoma milionami mieszkańców. Dostać się do fortu Golkonda, który chcieliśmy zwiedzić, pałacu i Charminaru wymagało busika, wcześniejszego śniadania i cierpliwości, żeby wytrzymać postój w korkach blokujących miasto. Naszym przewodnikiem po mieście miał być tym razem Paweł Pablo Ł. i wywiązał się z tego zadania wyśmienicie. Zaczął swój wykład już w pojeździe. Najpierw podjechaliśmy do wspomnianego wcześniej fortu. Był wielki i wybudowany na 120 metrowej skale. Pokonaliśmy wiele schodów nim weszliśmy na szczyt, a tam była świątynia Shivy,

ruiny pałacu i Piotruś Cz., który był bardzo dzielny tego dnia, bo mimo „nagłego ataku spawacza”, czyli problemów gastrycznych zwiedzał jak rasowy podróżnik. Z fortu pojechaliśmy do pałacu Chowmahalla, który olśnił nas wnętrzem, zachwyciła wszystkich sala tronowa z nie tylko pięknie zdobionymi ścianami, ale też kryształowymi kandelabrami zwisającymi z sufitu. Wokół pałacu rozpościerały się ogrody z kwitnącymi drzewami i krzewami, a w jednej ich części wyeksponowano kolekcję przedwojennych samochodów bogatych właścicieli posiadłości. Z pałacu poleźliśmy już pieszo pod Charminar, a to zbudowany w XVI wieku budynek – meczet z czterema minaretami, będący symbolem miasta. Oczywiście pod nim, tudzież przed nim była sesja zdjęciowa. Upał był nieziemski, a mnie tak strasznie chciało się pić… pogalopowałam więc do pobliskiej sokarni i za 50 rupii ufundowałam sobie sok mosambi, z takich kwaśniejszych niż te, które znamy pomarańczy. Przeszliśmy jeszcze ulicą jubilerów, którzy handlują perłami. Dlaczego akurat perłami w Hyderabadzie? Pieron wie, ale jeśli kupować perły to tu. Ja nie kupiłam, choć lubię i noszę. Jakoś nie miałam potrzeby nabywania drogą zakupu. Do hotelu wracaliśmy około godziny, potem była kolacja i czas na odpoczynek w pozycji horyzontalnej. Tymczasem miejscowi urządzili w naszym hotelu przyjęcie przedweselne zwane sangeet party. Polega ten zwyczaj na tym, że rodziny państwa młodych spotykają się przed główną ceremonią i bawią się wespół w zespół, popisując umiejętnościami tanecznymi i wokalnymi. Podglądaliśmy ich troszeczkę z Grace, bo nas „nosiło”, kiedy słyszałyśmy muzę, ale ostatecznie polazłyśmy do Kumara na wieczorne jego opowieści. Tym razem było o GRZYBACH. Bo Szef ma zwyczaj opowiadać nam różne historie na dobranoc. Ja jako wyprawowy kronikarz oczywiście zapisuję też tematy tych opowieści i mam swoje ulubione, np. Kumar w wojsku. I tym razem pośmiałyśmy się zdrowo, a w tym czasie imprezowicze powiedzieli sobie „bye bye” i wszyscy grzecznie poszliśmy spać.